Nr. 22. Lwów, 15 listopada 1899. Rok XXII.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Wskazówki dla mających zamiar sprowadzić zające do rozpłodu.

(Dokończenie.)

Tyle o zajęczarniach, zakładanych, że się tak wyrazimy, na dłuższą metę, mających niejako charakter kolonii rozpłodowych, w których hoduje się materyał rozpłodowy stale, a przychowek wypuszcza się na wolność i mając zawsze zapas w zajęczarni, mogący na nowo zapełnić poczynione przez polowania luki, w miarę potrzeby wybija się, jak przynajmniej niektórzy hodowcy niemieccy twierdzą, do nogi to, co się po za zajęczarnię wypuściło.

Tak jak powiedzieliśmy wyżej, zajęczarni takich u nas w kraju, o ile nam się zdaje, nie zakładano wcale. Byłoby bardzo pożądanem, ażeby ktoś próbę taką przedsięwziął, muszą bowiem takie zajęczarnie być pożyteczne dla rozmnożenia tej zwierzyny, inaczej taki Hartung nie byłby zakładał 200 podobnych zajęczarni. Zdaje się, że oprócz bezpośredniego skutku, jaki się w pomnożeniu zajęcy w zajęczarni przedstawia, są jeszcze pośrednie wyniki nie do pogardzenia, a mianowicie ten fakt, że przy zajęczarni takiej, przy jej koniecznem strzeżeniu, tępi się całe mnóstwo drapieżników, co wychodzi na korzyść zającom „intra et extra muros."

Ci z członków Towarzystwa, którzy zainicyowali tegoroczną akcyę, mającą na celu rozmnożenie zajęcy za pomocą sprowadzenia żywego materyału, postanowili uczynić to w sposób następujący:

Ponieważ wypuszczenie sprowadzonych zajęcy przed marcem jest rzeczą bardzo niebezpieczną, bo za-

jąc wcześniej wśród zimy wypuszczony garnąć się będzie do zagród chłopskich i wyginie od strzałów kłusownika lub na kulkach drucianych, ponieważ dalej sprowadzenie zajęcy w tym czasie tj. w marcu byłoby rzeczą za drogą, zajęczyca bowiem dochodzi wtedy do ceny 15 zł. za sztukę, jeżeli jej w ogóle dostać można, postanowili ci członkowie sprowadzić zające w grudniu i wpuścić je do przygotowanych, prowizorycznych zajęczarni. Tutaj zające żywione odpowiednio i odpowiednio strzeżone, doczekać się mają tego czasu, w którym rozbudzająca się do życia roślinność zatrzyma je wśród pól i zagajeń, bądź co bądź dla nich bezpieczniejszych.

Zajęczarnia taka wygląda jak następuje. Morg lasu wysokopiennego, gęsto podszytego, ogrodzony jest zwykłym, na 2½ metra wysokim płotem chrustowym, który od wewnątrz zaopatrzony jest dość znacznym okapem. Na około ogrodzenia usunięto na pewną odległość krzaki, aby w zimie bez trudności można było tropić zakradających się rabusiów. W płocie urządzono tak, jak to w poprzednich artykułach opisano, otwory, zaopatrzone w łapki i paście. Można oczywiście zastosować przy tem ogrodzeniu wszelkie wskazówki, jakie co do stałych zajęczarni podano, a które mają na celu przedewszystkiem ustrzeżenie mieszkańców zajęczarni od drapieżników. Kto w tym kierunku jakiekolwiek urządzenia poczyni, z pewnością tego nie pożałuje — w bogatych bowiem jeszcze naszych w drapieżce rozmaitego rodzaju okolicach, zajęczarnia odpowiednio nie chroniona, z pewnością tylko stratą włożonego w nią funduszu zapisze się w pamięci zakładającego ją.

Przestrzegamy zatem wszystkich, aby na ten cel nie szczędzili kosztów, bo one się sowicie opłacą.

Najpraktyczniejsze łapki są, o ile nam wiadomo, łapki skrzynkowe Webera, które mają tę dobrą stronę, że zwierzyna, względnie drapieżca, łapie się żywcem i bez okaleczenia, co pozwala zwierzynie pożytecznej, przypadkowo złapanej, wyjść z tego wypadku bez szwanku. Złapany szkodnik także nie męczy się całemi godzinami, lecz we względnym spokoju oczekuje zasłużonej śmierci.

Zające łapią handlarze żywej zwierzyny sieciami, których często do 5000 metrów naraz używać muszą. Sieci nie mogą być ani mokre, ani zmarznięte, wtedy bowiem cały trud jest daremny i często łowu zupełnie zaprzestać wypada. Pomiędzy złapanymi zającami, większa część, podług twierdzenia handlarzy, przypada na samce, których wartość jest znacznie mniejsza, do rozpłodu bowiem przeważnie żądają hodowcy zajęczyc. Wielka też jest różnica i w cenie. Gdy samica, sprzedawana w grudniu — kosztuje około 8 do 9 złr. — w styczniu i lutym nawet do 13 i 14 zł. — zając kosztuje w grudniu 3 do 4 zł., a w styczniu i lutym niewiele w cenie się podnosi. Złapane zające pakują w skrzynie z odpowiednimi otworami i wysyłają wprost z miejsca zamówienia. Wypuszczanie powinno się odbywać wieczorem i w ten sposób, że skrzynia powinna być przeniesioną do zajęczarni, tutaj ostrożnie powinno się odjąć łaty, zamykające skrzynię, poczem należy cicho a pospiesznie oddalić się. Zające same powinny wyjść ze skrzyń. Ujmowanie ich w ręce powoduje często złamanie nogi u zająca, a nieraz i jego śmierć natychmiastową. Zresztą wyjęty ręką zając goni jak szalony, stara się przeskoczyć płot, obija się niego i często się uszkadza. Na miejscu, gdzie się zające wypuszcza powinno się przedtem położyć dużo buraków pokrajanych, a lepiej jeszcze marchwi, trochę owsa, posypać — wtedy zające wyszedłszy ze skrzyni, rozpoczną zaraz żerować i już do tego miejsca się przyzwyczają.

Wypuszczenie zajęcy na wiosnę do rewiru odbywa się przez otworzenie drzwiczek ogrodzenia, lub wprost przez rozebranie części tego ogrodzenia. Karmienie zajęcy w czasie ich pobytu w zajęczarni powinno się odbywać z całą uwagą. W tym względzie odsyłamy szanownych czytelników do poprzednich artykułów, w których omówiono dokładnie tę sprawę.

Niektórzy z zamawiających zajęczyce hodowców zamówili także zające w stosunku 10 : 1, większa jednak część, co może jest praktyczniejszem, postanowiła postarać się o samce z własnych rewirów, aby w ten sposób odświeżyć także krew sprowadzonych zajęcy.

Łapanie odbywać się może sieciami tam, gdzie one są pod ręką. Można jednak łapać zające w kosze, których używał Hartung, a o których w poprzednich artykułach już wspomniano. Na miejscach, na których przedtem dawano na przynętę zającom, ulubione im przysmaki, stawia się przenośny kosz z chrustu o 2 do 2·5 metrów w kwadrat. Kosz ten na dole z jednej strony ma otwór taki, żeby się zając przez niego mógł przecisnąć — za otworem znajduje się urządzenie podobne, jak w łapce na myszy, która po przyjęciu każdego nowego gościa napowrót sama się nastawia. W ten sposób może się kilka zajęcy naraz złapać. Przypominamy, że rozpoznać płeć zająca nie jest rzeczą łatwą i że w tym względzie trzeba wielkiego doświadczenia.

Po zbadaniu nadesłanych wydziałowi Towarzystwa ofert ze strony czterech poważnych firm, podajemy do wiadomości naszych czytelników, że w pierwszej połowie grudnia kosztować będzie zajęczyca 8 zł. 30 ct., w drugiej połowie o 30 ct. drożej. W cenie tej pomieszczona już jest asekuracya za przybycie zajęcy w stanie żyjącym na ostatnią stacyę kolejową i należytość za opakowanie. Zając kosztuje 4 zł. 70 ct. Oznaczenie dnia nadesłania rezerwuje sobie przedsiębiorca — oczywiście jednak otrzyma odbiorca we właściwym czasie telegram o wykonanej wysyłce. Zamówienia należy przesyłać do wydziału Towarzystwa łowieckiego, przyczem należy dołączyć jako zadatek kwotę, równającą się jednej czwartej części wartości zamówionych zajęcy.

W sprawie psów myśliwskich.

W 17. numerze *Łowca*, z dnia 1. września 1889, omawiał p. Modest Douillet z wybitną znajomością rzeczy kwestyę psów myśliwskich, a raczej kwestyę psów legawych. Pomimo całej przedmiotowości artykułu i nadzwyczaj oględnie wypowiadanych przekonań i sądów — w kilku miejscach — o ile mnie się wydaje, zbyt daleko idące przebijają się tezy — i te niech mi wolno będzie omówić.

P. Douillet, omawiając naszą nędzę pod względem psów legawych, wymienia trzy przyczyny zastoju na punkcie hodowli wyżłów: 1) brak dobrego materyału; 2) brak ludzi dobrze tresujących; 3) niskie ceny, uzyskiwane za dobre wyżły. W porządku przez p. Douillet wskazanym dorzucę innych kilka uwag, jakie mi się po przeczytaniu tego artykułu nasuwają.

Za jedną z głównych przyczyn uważa autor brak odpowiedniego materyału. Kwestya ta byłaby rzeczywiście zabijającą a *principio* całą sprawę, gdyby ją można seryo traktować. W omawianiu dalszych kwestyi roztrząsanych przez p. D. wypowiem, jakaby się radykalna na brak materyału znalazła rada; teraz nadmienię, iż każdy, kto pragnie posiadać psa z najlepszego gniazda, potrzebuje tylko wziąć do ręki którąbądź niemiecką łowiecką gazetę np. „Weidmannsheil“, a znajdzie tam ogłoszenia o psach, szczeniętach z najlepszych gniazd, z pewną gwarancyą, iż nabyty z niejakim kosztem szczeniak dojdzie żywy na miejsce przeznaczenia, i że od dobrych pochodzi rodziców. Jeżeli komu zbyt kłopotliwem wydaje się sprowadzanie szczeniaka aż z poza granic Galicyi, to może i wewnątrz kraju znalazłaby się jakaś zarodowa psiarnia, którąby mogła najbardziej wygórowanym żądaniom zadość uczynić np. świetna hodowla setterów w Oknie, jakoteż wzorowo prowadzona psiarnia w Łańcucie (p. Wł. Lewickiego).

P. D. posyła kilka westchnień pod adresem rzekomo nieistniejących psów rasy polskiej. Psy te jeszcze egzystują w zupełnie czystej krwi, a chociażby nawet już nie istniały, to wobec radykalnej zmiany stosunków łowieckich nie byłoby czego żałować. To samo bowiem, iż psy te pozostały wyparte przez psy innego pochodzenia i innych skutkiem tego zalet, dowodzi, że nie wystarczały naszym potrzebom i nie zadowalniały naszych myśliwych, a zatem, że nie były dla naszych stosunków odpowiednie. Nie ma czego żałować, jeżeli to czego nie ma, złe było. Widzimy za tem, iż to nie brak odpowiedniego materyału, przedstawiony przez p. D. jako skutki sprowadzania psów angielskich i zaniedbanie chowu psów rasy polskiej, jest powodem braku dobrych psów legawych, gdyż w każdej chwili szczeniaka z dobrego miotu można nabyć.

Drugą wymienioną przyczyną jest brak dobrych treserów. To jest istotnie główny powód braku dobrych wyżłów. Wyrzekania na tresurę, sposobem zabawy prowadzoną, są najzupełniej słuszne. Sposób tresowania par force jest zupełnie w gronie naszych myśliwych nieznany, a gdy się o nim wspomni, wypatrują się na mówiącego, jak na raroga i potrząsają z niedowierzaniem głowami. W tej kwestyi jednak nic poradzić się nie da.

Trzeci punkt wymieniony przez p. D. jako przyczyna, dałby się prędzej w szereg skutków policzyć. Na dowód trafności mego twierdzenia przytoczę to, że i u nas słyszy się o tem, że za dobrego psa płacą po 150 do 200 złr. Rozumie się, że pies kupiony za taką cenę musi być rzeczywiście dobry, a ponieważ dobrych psów bardzo mało, a zatem i dobre ceny są rzadkie. Mamy tu więc do czynienia z typowem, błędnem kołem.

Zdziwiony byłem czytając artykuł p. D., że pominiętą została przyczyna, która w brakach, zarzucanych psom legawym, odgrywa rolę głównego czynnika.

Głównym i istotnym powodem tego, że psów legawych, dobrych nie posiadamy i że ich bez zmiany radykalnej stosunków łowieckich nigdy mieć nie będziemy, jest brak zwierzyny. Psa dobrze wytresować i ułożyć można jedynie tam, gdzie jest dużo zwierzyny, niemieckie bowiem przysłowie powiada „Übung macht den Meister“, a trafności tego zdania nikt, nawet z dekadentów, nie starał się obalić. Pies nawet z najlepszego gniazda, tresowany w pustym rewirze, nie będzie mógł rozwinąć swych zdolności i nigdy dobrze z powodu braku ćwiczenia chodzić nie będzie, gdyż wkrótce, albo straci ochotę do polowania, albo stanie się tak gorący, że będzie bez opamiętania harcował po polach, wykluczając już z góry wszelką możliwość dobrego prowadzenia ze strony tresera. (Nie jestem przeciwnikiem szybko szukających psów, ale medium tenuere beati.) Brak zwierzyny jest także ważnym powodem tego, że psy stoją w niskiej cenie, bo zakupienie lepszego, a zatem droższego psa do rewiru nędznego po prostu nie opłaca się, a podaż musi stosować się do popytu.

Podniesiona myśl założenia klubu, mającego czuwać nad hodowlą psów legawych, będzie miała wielką doniosłość dla naszych myśliwych — jeżeli się urzeczywistni — o czem zupełnie wątpię. Właśnie o to słówko „jeżeli“ rozbijają się najpiękniejsze plany. Wątpliwości moje co do zrealizowania się projektu urządzenia klubu hodowców nie pochodzą z pesymizmu, lecz tylekrotnie już mówiono o założeniu czegoś w tym guście i tylekrotnie stało się wielkie zero, że ten, coby wierzył istotnie w przyszły klub, musiałby być bardzo wielkim idealistą.

Stosunek treserów do klubu, tak jak go pojmuje i przedstawia p. D., byłby wielką pomocą dla celów i dla rozwoju towarzystwa, tylko zdaje mi się, iż trudno znalaźćby było treserów, którzy chcieliby na projektowanych warunkach zająć się tresurą i chowem wyżłów. Towarzystwo w pierwszych chwilach istnienia nie stanęłoby odrazu na tak silnych finansowych podstawach, ażeby mogło większe czynić nakłady na tre-

surę i hodowlę, a bezinteresownych treserów, którzyby oprócz tego musieli jeszcze ponosić koszta utrzymania psów, z pewnością trudno będzie znaleźć.

Klub mający w Galicyi dawać rękojmię powodzenia musiałby zredukować swe pierwsze kroki ad minimum, aż do ewentualnego rozbudzenia się zajęcia kwestyą chowu wyżłów, wśród szerszych kół myśliwych. Towarzystwo, rozwijając szerszą akcyę na polu chowu i tresury, musiałoby się narazić na niepowodzenie i skutkiem tego upadek. Natomiast idąc powoli, krok po kroku, nie reformując odrazu stosunków, z którymi się myśliwstwo nasze zrosło, czekając na współdziałanie ze strony szerszych kół, możnaby z czasem donioślejsze przeprowadzić ulepszenia. W pierwszych chwilach istnienia rozpatrzyć akcyę jak się odbywała w latach 1879—1884 w Niemczech na polu kynologii tj. na polu chowu i tresury psów, na wzór Niemiec, pokierować krokami, nie sięgać od razu daleko, lecz rozpocząć od tego, co nas w koło otacza; nie forsować tam, gdzie forsa nie ma widoków powodzenia, nie skakać tam, gdzie się przeleźć lub przeczołgać można, wogóle postępując powoli i oględnie mogłoby Towarzystwo osiągnąć po latach kilkunastu niejaką poprawę wśród psów myśliwskich. Z początku trzebaby się postarać o zaufanie wśród myśliwych, dopóki się silnie nie stanie, żadnej inicyatywy w kierunkach nowych nie przedsiębrać, gdyż pierwsze niepowodzenie, pierwszy fałszywy krok, a z trudem założone Towarzystwo runie w stos ruin i gruzów. Pierwsze chwile istnienia musiałby Klub poświęcić na dokładne rozpatrzenie istniejących stosunków, na pośrednictwo pomiędzy wegetującemi już hodowlami wyżłów, a odbiorcami, na rozstrzygnięcie na podstawie doświadczenia pytania, czy rasy w kraju się znajdujące rzeczywiście w zupełności nie zasługują na uwzględnienie. Dopiero uzupełniwszy wszelkie braki, jużto w informacyach, jużto w doświadczeniach, możnaby przystąpić do hodowli w tym stylu, jak proponuje p. Douillet.

Pomimo, że jak z powyższych uwag wynika, jestem zasadniczo przeciwny rozpoczynaniu energicznej akcyi od pierwszej chwili istnienia, to kiedy już była mowa o tem, jakaby rasa była dla nas najodpowiedniejsza i ja kilka słów w tej kwestyi pozwolę sobie przemówić. P. D. radzi zaprowadzić u nas rasę niemiecką, odradzając stanowczo wszelkich prób z rasą angielską pointerów. Nie wiem, co wpłynęło tak pesymistycznie na p. D. pod względem psów angielskich, które ogólnem cieszą się w kraju uznaniem. Zarzut robiony im, że potrzebują twardej tresury da się odeprzeć na niekorzyść psów niemieckich, które o wiele jeszcze twardszej tresury wymagają, tylko, że ją lepiej konserwują. Psy niemieckie bywają zazwyczaj dobre, psy angielskie, albo znakomite, albo nie do użycia. Wybór zatem trudny; ażeby zatem kwestyę dokładnie osądzić, muszę nadmienić, że Anglicy w ostatnich czasach zaczęli się bardziej pesymitycznie zapatrywać na przechwalane dawniej setery i pointery i coraz częściej mają się w Anglii pojawiać psy importowane z Niemiec (oczywiście rasy niemieckiej), z drugiej strony w Niemczech rozdwoił się kierunek hodowlany na dwie gałęzie. Jedni używają do poprawy wyżłów niemieckich domieszki krwi angielskiej, drudzy poszli w kierunku ultra-radykalnym i skrzyżowali dwa najbardziej utalentowane gatunki psów ze sobą, ażeby świetne otrzymać rezultaty.

Gatunki te są pudel i pointer, z czego wyrobiła się znakomita rasa wyżłów zwana etymologicznie pudel-pointerami. Chcąc gatunek ten wytworzyć krzyżuje się samca pointera z suką pudla. Cała trudność polega w trafności wyboru z pomiędzy szczeniąt powstałych z takiego krzyżowania. Trafiają się bowiem w miocie z kształtów całe pointery, pudle i mieszańce; chodzi o to, ażeby wybrać mieszańca, którył ukrywał kształty pointera w szacie kędzierzawej. Jeżeli się tylko wybór trafny uczyni, rezultaty skrzyżowania okażą się nadzwyczajne, gdyż rasa pudel-pointerów, już dzisiaj okazuje się nadzwyczajną do wszystkich celów myśliwskich a tak genialni hodowcy jak Stegenwald i Oberlaender, ogromne do jej rozwoju przypisują znaczenie.

W razie założenia zatem projektowanego klubu nie radziłbym układać żadnego, jak nadmieniłem, programu postępowania; niech młode towarzystwo akkomoduje się, jak może, do trudnych warunków egzystencyi w Galicyi, byle tylko istniało i nie zawodziło przywiązanych do założenia jego nadziei

Janusz Samolewicz.

Urywek z pamiętniczka „Bessie.“

Jestem bardzo ładną Foxteryerką nazywam się Bessie. Jeżeli jest niebo dla dobrych piesków, to jest mi tu jak w niebie. Panienki domu, Stenia i Musia, pieszczą mnie i psują, mam sienniczek i kołderkę, chodzę z panienkami na spacer, na tenisie bawię się kulami, dzieci bose łapię za nogi, jednem słowem bawię się doskonale. Goście mnie kochają, lecz czasem mi dokuczają — to też, raz jednego złapałam za brodę, a drugiego za ucho. Karmią mnie dobrze, a słodycze i cukier lubię nadewszystko.

Przy herbacie siedzę zwykle na krzesełku, pomiędzy Musią a Stenią, a gdy ktoś z gości przyjedzie, przysłuchuję się rozmowie. Raz objawił ktoś zdanie, że szczęścia prawdziwego nie ma na tym świecie. Nie mogłam wówczas pojąć, dlaczego — czułam się bowiem całkiem szczęśliwą. W parę dni potem spostrzegły moje przyjaciółki jakąś plamkę koło mego uszka i nazwały to liszajem — uradzono więc zawieść mnie do doktora w pobliskiem miasteczku, aby mi tego liszaja zgubił.

Pojechał ze mną brat moich przyjaciółek i wziął nie furmana starszego, któregom lubiła, ale chłopaka stajennego, któregom nie cierpiała. Brat moich przyjaciółek, Tadeusz, powoził sam, a chłopak mnie trzymał.



Klisz oryg. „Łowca."

W ostępie.

Już w drodze do miasteczka, gryzłam go po rękach i wyrwać starałam się, aby powrócić do domu. Ach może to było przeczucie mego nieszczęścia, które mnie spotkać miało! Tadeusz wstąpił w miasteczku na pocztę, a przez ten czas chłopak trzymał konie i mnie miał pilnować. Na nieszczęście moje wyrwałam się mu, wyskoczyłam i chcąc do domu powrócić zaczęłam uciekać. W miasteczku zmyliłam drogę, wpadłam w jedną i drugą uliczkę, lecz ścigana przez nieznośne dzieci żydowskie, uciekłam w pole — i zabłądziłam. Noc nadeszła, noc zimna, jesienna, zdesperowana szukam schronienia, myśląc, że w dzień prędzej trafię do moich przyjaciółek i dobrodziejek. Szukając schronienia, natrafiłam na sterty ze zbożem i sianem. Zakopałam się w stertę ze siana, bałam się okropnie ciemności zawsze, możesz więc sobie wystawić, mój miły czytelniku, jak mi ta noc przeszła. Zmęczona bieganiem, zasnęłam. Obudziwszy się rano uczułam głód, czem tu się pożywić! widziałam ja wprawdzie inne pieski łapiące myszy i zajadające je ze smakiem, lecz co do mnie to czułam wstręt do tej potrawy i chociaż obok stojąca sterta w myszy obfitowała, nie mogłam się jakoś przezwyciężyć, aby je łowić na własne pożywienie. Pierwszy dzień głodowałam bardzo, a na domiar nieszczęścia deszcz zimny cały dzień padał. Ku wieczorowi wyszłam na zwiady. Chodziłam daleko to gościńcem jednym, to drugim, lecz domu mego znaleźć nie mogłam, bo gdym się gdzieś do wsi zbliżała, to szczekanie psów lub ludzkie głosy tak mnie straszyły, że zaraz oddalać się musiałam, a gdy wieczór nadchodził uciekałam do stert, które mnie jeszcze najgościnniej przyjęły. Trzeciego dnia odłożywszy wstręt na bok, zabrałam się do łapania myszy, aby głód zaspokoić. Bardzo długo byłam skazaną na moje tułackie życie, lecz gdy pierwszych dni miałam przynajmniej spokój w mojem wyszukanem domostwie, później ranem i wieczorem zaczęło się prześladowanie i to znowu przez tych nieznośnych żydowskich chłopaków. Dopiero później dowiedziałam się dlaczego mnie tak prześladują. Oto dziadzio, a ojciec moich przyjaciółek, obiecał dość znaczną nagrodę za odszukanie mnie, a że chłopaki wypatrzyli, gdzie nocuję, czatowali po kilku rankami, aby mnie złapać. Ot, gdybym była przeczuwała, w jakim celu mnie chcą złowić, byłabym się sama w ich ręce oddała, lecz myśląc niestety, że mi coś złego chcą uczynić, wymykałam się zawsze. Nareszcie 12-go dnia, gdym była już wyniszczona niewygodą, zimnem i poczęści głodem, bo myszy, jako jedyna potrawa, nie bardzo mi służyły, udało im się złapać mnie. Zanieśli mnie do miasteczka, a kupiec cieląt wziął mnie na wózek i zawiózł do mego kochanego domu. Tej radości której poznałam, doznawszy gdzie jadę, potem przywitania z memi przyjaciółkami, które napieścić mnie nie mogły się dosyć, opisać, ani nie jestem w stanie, ani też próbować nie myślę. Dziadzio żydom podziękował i wynagrodził ich hojnie, a ja pomału przychodzę już do siebie i na moim sienniczku ciepło nakryta sypiam.

Bessie.

Prawdziwość pamiętników poręczam.

Pantalowice, 28 września 1899.

Stefan Prek.



„Pierwsza miłość."

Wspomnienie myśliwego.

Przez

Alberta Mniszka.

Ciąg dalszy.

Mimowoli przychodziło mi na myśl, czy Stefan w niej się nie kocha i ze zdziwieniem spostrzegłem, że myśl ta, była mi bardzo przykrą. — Rzeczywiście płochy, wesoły chłopak był przy niej całkiem inny jak zwykle, nieśmiały, małomówny i wpatrywał się w nią, jak w przecudny jaki obraz.

Na drugi dzień po południu przybyły rzeczywiście do Krasnopola panie z Woronnego, a w kwadrans później, konno Stefan, pod pozorem niby powiedzenia pannie Maryi, że ojciec jego podejmuje się urządzić polowanie, oraz zwerbowania mnie na polowanie błotne nazajutrz, do Sokołówki, w istocie zaś na to, by zobaczyć choć na chwilkę, piękną sąsiadkę.

„Panowie jesteście, widzę, nierozdzielni", zauważyła panna Zapolska, a słysząc naszą rozmowę o jutrzejszych błotach, dodała:

„Chciałam panów prosić, byśmy jutro u mnie na błotach razem zapolować mogli. Jestem nowicyuszką w tego rodzaju polowaniach i chciałabym raz przynajmniej mieć doświadczonych myśliwych koło siebie."

Nadzwyczajnie nam pochlebiła ta wzmianka o naszem doświadczeniu myśliwskiem, tak pięknemi ustami wypowiedziana, to też ze skwapliwością przyjęliśmy propozycyę. Umówiliśmy się zjechać nazajutrz rano, koło Kamiennego stawu.

Polowanie na wilki naznaczyliśmy na pierwsze dni września, gdyż w połowie tego miesiąca mieliśmy wyjeżdżać do Halli, gdzie mieliśmy się kształcić w zawodzie rolniczym.

Była godzina dziesiąta, gdy weszliśmy nazajutrz na rudę. Słońce paliło ogniem. Na trawkach błyszczały ostatnie, nieoschłe jeszcze krople rosy. Roje muszek

czarnych, o złotych główkach, brzęczały w powietrzu. Od wschodu zalatywał lekki wietrzyk i łagodził upał sierpniowy. Na niebie nie było chmurki. Nad oczeretem pobliskiego stawu, bujało kilka czarnych jastrzębi, płosząc co chwilę kaczki, które zrywając się z szumem i kwakiem, przerywały ciszę, żarem słońca uśpionej przyrody. Tam za wodą wśród pól widać było kwiecistą wstęgę żniwiarzy, która, jak wąż wijąc się leniwo, całą swą długością wrzynała się w łan pszenicy. I jak niegdyś na tych samych stepach, skrzydlata husarya, miażdżyła uderzeniem swem szeregi pół dzikich janczarów, zostawiając po swem przejściu śmierć i zniszczenie, tak dziś zwarta jak mur pszenica, kładła się pod naciskiem tej wstęgi, która pozostawiała za sobą ścierń, a na niej las bogatych, złotych snopów dojrzałego zboża.

Uszliśmy kilkaset kroków, gdy pies mój stanął, skręcił się na bok, ogon wyprężył, prawą przednią łapę podniósł i stał tak jak z kamienia nieruchomo, na mnie się czasem tylko oglądając, jakby chciał mi powiedzieć: „chodźże prędzej, bo tu coś siedzi." Prosiłem pannę Maryę, by do psa podeszła i strzelała, bo za pewne zerwie się dubelt. Rzeczywiście para tych ptaków z właściwem im chrapnięciem zerwała się z łąki, ale trafiona strzałami uroczej dyany, spadła martwa w zielony kobierzec.

„Pani jest prawdziwą artystką" — zawołałem z uwielbieniem — „to my powinniśmy brać lekcye strzelania od pani."

Wkrótce natrafiliśmy na gęsto siedzące kszyki. Rozległa się kanonada, z sześciu luf. Panna Marya strzelała doskonale rzadko kiedy chybiając. My zaś, czy to właśnie dlatego, że chcieliśmy dobrymi pokazać się strzelcami, którymi zresztą byliśmy, czy też nas obecność pięknej dziewczyny emocyonowała, dość, że pudłowaliśmy jak najęci.

Polowaliśmy później przez cały sierpień, często z panną Zapolską i bez niej i zawsze mieliśmy dwa razy więcej zwierzyny, gdy byliśmy na błotach sami. Gdy z nią chodziliśmy po mokrych łąkach i bagnach, chybialiśmy ciągle, co ją ogromnie bawiło i cieszyło. My zaś traciliśmy zupełnie głowy! Bo też można je było stracić, nie mając jeszcze lat dwudziestu, na widok ślicznej dziewczyny, ubranej w powabny myśliwski kostyumek, polującej z nami, chodzącej zgrabnie po największych bagnach. Tam, gdzie my zapadaliśmy się po pasy, ona śmiejąc się z nas, przechodziła po wierzchu, jak jaka lunatyczka, lub czarodziejka czyniąca cuda.

Tak minął cały sierpień, na polowaniach stawowych i błotnych, częstych odwiedzinach naszych w Woronnem i panny Maryi w Krasnopolu. Nie było już wątpliwości. Kochaliśmy się obaj w pannie Zapolskiej szalenie. Kochaliśmy ją tą pierwszą, szaloną miłością, w której nie ma nic ziemskiego, w której się na wszystko patrzy rozszerzoną czarem uniesień źrenicą, która wszystko widzi w kolorach tęczy i drogich kamieni, a rzecz najzwyklejszą, do wyżyn nieba podnosi.

Ze Stefanem byłem, jak dawniej. Nie czuliśmy do siebie żalu, czy to dlatego, że panna Marya była dla nas obu równie uprzejmą, żadnego z nas szczególniej nie odznaczając, czy też, że miłość nasza będąc tak czystą, jak łza, lub kropla rosy, nie dopuszczała do żadnych rozterek i ziemskich zawikłań.

Zbliżał się czas zapowiedzianego na wilki polowania w Woronnem. Cieszyliśmy się nań wszyscy nie przeczuwając bliskiego nieszczęścia!

CZĘŚĆ III.

Po całonocnej słocie, wstał dzień smutny, posępny, dżdżysty, prawdziwie jesienny. Ziemia pokryta była grubą, nieprzeniknioną warstwą mgły. Ciężkie ołowiane obłoki kłębiły się w przestworzu. Cisza panowała w powietrzu przerywana tylko spadającymi z drzew liśćmi.

Na drodze prowadzącej z Woronnego do lasu, znać było już od świtu ruch nadzwyczajny. Jechały podwody, pędzili tam i napowrót jeźdzcy. Wszystko jednak mimo pośpiechu, działo się jakoś spokojnie, tajemniczo i jak przezorny wódz przed bitwą cicho, stanowcze wydaje rozkazy i niewidzialnie swe wojska szykuje, tak pan Raczewski daje ostatnie rozporządzenia, by zgnieść dzisiaj całe gniazdo drapieżników w kilkudziesięciu morgowej kniejce zaległe. Ludzie jego, tak jak i on w tem rzemiośle wytrawni, spełniają rozkazy biegle i pewnie i pod odsłoną mgły zamykają lasek sieciami. Wczoraj i dzisiaj wabione wilki zdradziły się odpowiedzią i za chwilkę będą w matni, z której ich chyba cud wybawić potrafi. Otóż i manipulacya skończona. Lasek już zamknięty sieciami i ludźmi; na czterech jego rogach stoją smycze chartów. Koło leśniczówki rozlega się teraz wesoły gwar ludzi, którzy ukończyli swą robotę. Zwierz już pewny — wszelka ostrożność i tajemniczość zbyteczna.

Na drodze z Sokołówki, okazały się śpiesznie jadące dwie fury. „Już jadą psy", rzekł jeden z pobereżników. Rzeczywiście z jakich trzydzieści gończaków czarnych podżarych, jechało dwoma wozami, szczekając, skomląc i warcząc. Odgłosy te odbiły się widocznie złowrogo w uszach wilków, to też już w kilku miejscach rzucały się na sieci, chcąc życie salwować, ale odpędzone od nich kijami i krzykami wracały w rozpaczy w gąszcz leśną.

(Ciąg dalszy nastąpi).



KORESPONDENCYE.

Z Poznańskiego, w październiku 1899.

Kuropatw tego roku mieliśmy mało, ostatnie zaś były niewyrosłe i co gorsza, całe mnóstwo starych, niepłodnych. — Wiosenne deszcze i grady najwięcej się do tego przyczyniły, zalewając gniazda i zabijając młode. Lecz nietylko deszcze i grady są powodem braku wszelkiej drobniejszej u nas zwierzyny. Mam to mocne przekonanie, iż ostatnich kilka zim łagodnych, a raczej mokrych, bez śniegu, przyczyniło się do rozmnożenia drapieżników i one właśnie niezliczoną ilość zwierzyny zniszczyły. Wyda się to na pozór niekonsekwentnem, utarte to bowiem zdanie, że po lekkich zimach mamy dużo zwierzyny. Ten objaw jednakże obserwować można jedynie w tych rewirach, w których ani podczas zimy ciężkiej, ani łagodnej, nie pamiętają o zwierzynie i nie dają jej paszy, nie stawiają kuropatwom budek, nie zakładają po polach remiz, nie chwytają w łapki jastrzębi, lisów w doły, nie trują wron, co tylko zresztą na śniegu praktykować można. W takich rewirach po łagodnej zimie jest bezwarunkowo więcej zwierzyny; w rewirach zaś, gdzie się to zawsze robi, zima łagodna jest stosunkowo korzystniejsza dla drapieżników, bo zimno im nie dokuczy, a bez śniegu trudniej jest dobrać się im do skóry. Łagodne zimy jeszcze tę złą mają stronę, że kuropatwy w dobrym będąc stanie z wiosną zawcześnie się niosą i to na nagich polach, gdzie wegetacya, bardzo jeszcze niewykształcona, mało daje im schronienia przed drapieżnikami, głównie przed wronami, wreszcie przed przymrozkami, z którego to powodu jaja się zaziębiają. Wtedy niosą się kuropatwy po raz drugi, lecz znowu znacznie mniej jaj i wówczas czynią to w zbożach, gdzie znów często bywają wysieczone. O sposobach tępienia wyżej wymienionych drapieżników, pisałem w jednym z zeszłorocznych numerów „*Łowca*“, pod tytułem „O tępieniu drapieżników“, na co w teraźniejszej, jako najstosowniejszej porze roku, pozwalam sobie zwrócić uwagę.

Tadeusz M......



Dnia 1 listopada 1899.

W dniach od 16 do 26 października b. r. włącznie odbyło się polowanie w Lisowicach o mniej bogatym, niż zwykle o tej porze, wyniku co do ilości sztuk, a to z powodu braku słonek. Brak tych uroczych, jesiennych ptaków, o ile dochodzą nas wiadomości z całego kraju, wszędzie dotkliwie uczuwać się dawał, wbrew najlepszym widokom, gdyż rok ten odznaczał się nieustającymi opadami atmosferycznymi, co niemałą atrakcyę powinno było dla słonek stanowić: zastać wilgotne lasy, a w nich niezliczoną ilość drobnego robactwa. — Czyżby tedy słonki innymi w tym roku ciągnęły szlaki? Czy może z wydoskonaleniem broni i ze wzrastającą chciwością strzelających, już i ten łownego ptactwa rodzaj na zagładę miał być skazany......?

Jakość rozkładu zawsze doborowa: jedenaście dzików na czarnej stopie ubitych, w każdym razie na zaszczytną zasługuje wzmiankę.

Ogółem ubito w dziesięciu dniach: dzików 11, rogaczy 12, lisów 29, zajęcy 54, cietrzew 1, jarząbków 16, słonek 10, jastrzębi 2, sowa 1. Razem sztuk 136 na 274 strzałów.

A. K. W.

Lwów, w październiku 1899.

W dniach 16 i 17 października b. r. odbyło się polowanie kniejowe w Kamionce wołoskiej u p. Jana Sołowija.

Pogoda nie sprzyjała łowom: wiatr i deszcz z przymieszką pierwiosnków śniegu, utrudniały zadanie nagance i myśliwym. Wobec tej aury zając siedział w polu — w ogromnych łanach ziemniaków — a ten, który siedział w lesie, nierad z kopna pomykał; lis, dbały o swą puszystą już szatę, siedział w norze, sarny zaś manewrowały w wysokopiennym lesie, uderzając w danej chwili na nagankę lub wybryzgiwały rzadko obstawionemi flankami; wreszcie myśliwy, ocierając ustawicznie lufy z deszczu, pomrukiwał pod nosem słowa mądrości przysłowia: „mokry strzelec — suchy rybak, dyabła wart.“

A jednak?.... jednak mimo to wszystko — knieja grzmiała strzałami, a na rozkładzie naliczono:

121 zajęcy, 6 rogaczy, 3 lisy, 3 jastrzębie i 2 sowy. Zdumienie! Zdumienie tem większe i prawdziwe, że rezultat taki osiągnięto w kniei, która przed trzema laty, t. j. w czasie, kiedy p. Sołowij objął to polowanie, 1 września 1897 r., była literalnie pusta, istna „tabula rasa“, co stwierdza następujący wykaz, wypisany z protokołu łowów Szanownego gospodarza.

I. Wykaz ubitej zwierzyny łownej.

Rok	1897/8	1898/9	1899/90	Razem
Kozły . . .	3	7	12	22
Zające . .	5	77	167	249
Kuropatwy .	11	17	267	295
Razem .	19	101	446	566

Do powyższego wyniku, świadczącego nader wymownie o znakomitej gospodarce łowieckiej, należy doliczyć jeszcze dzikie ptactwo, które sam Bóg hoduje i co uwidocznia:

II. Wykaz ubitego ptactwa łownego.

Kaczek	281	
Bekasów	180	
Przepiórek	81	
Słonek	10	= 552 sztuk.

III. Wykaz szkodników i drapieżników.

Dzik	1	
Borsuków	8	
Lisów	39	
Kun	2	
Psów	126	
Kotów	88	
Jastrzębi	61	
Wron, srok etc.	501	= 826 sztuk.

Zestawienie.

Według wykazu pod I. sztuk	566
„ „ „ II. „	552
„ „ „ III. „	826
Ogółem sztuk	1944

Wykaz najgrubszego zwierza:

Odebrano strzelb od kłusowników	13	
Ukarano aresztem kłusowników	17	
Dokonano rewizyi u podejrzanych o kłusownictwo i kradzież zwierzyny	27	= 57

Owoż i dowód, co może zdziałać prawdziwy myśliwy gospodarz, czuwający energicznie nad tem, aby we właściwej porze zwierzynę hodować, otaczać ją opieką przed szponami drapieżników, rusznicą, sidłami i napaściami kłusowników. W przeciągu trzech lat, co za zdumiewający rezultat — co za olbrzymi krok naprzód. Wobec tego nie wiem, zaiste, co należy myśleć o tych, którzy ustawicznie, aż do przesytu narzekają tylko, że u nas wobec takich to, a takich okoliczności — nic dodatniego zrobić się nie da!

Powyższy przykład jest matematycznym dowodem czynu, a owe zaraźliwe narzekania pesymistów — dowodem ich niezdarności.

Miło mi przytem powtórzyć tu słowa p. Sołowija, że bardzo wiele ma on do zawdzięczenia za wynik tej gospodarki łowieckiej rawskiemu Starostwu i tamtejszej żandarmeryi. Oby takich myśliwych i Starostw było u nas jak najwięcej!

Szczęściarz.

Jajkowce, w październiku 1899.

Myśliwskie towarzystwo Bukaczowieckie, odbyło w dniach od 19 do 25 października b. r. jesienne łowy na dzierżawionych łanach, a dzień ostatni, dzięki uprzejmości członka tegoż towarzystwa, hr. Kaźmierza Roztworowskiego, w Hrehorowskiej kniei.

Na rozkładzie znalazły się 3 dziki, 8 rogaczów, 19 lisów, 57 zajęcy, 16 słonek, 3 drapieżniki, razem 105 sztuk.

Nie jest to zapewne rezultat bardzo świetny, lecz na czarną stopę zupełnie zadowalający. Dodać należy, że strzelano tylko do starych rogaczy oszczędzając skrupulatnie śpiczaki. — Gdyby nie to, ilość zabitych rogaczy byłaby w czwórnasób większa.

Przeważnie piękna pogoda sprzyjała łowom, a śliczne Bukaczowieckie knieje, pełne krajobrazowych uroków, ubrane w barwną, jesienną sukienkę, stanowiły tło, po którem przewijał się codziennie wesoły, łowiecki orszak.

Czcigodny nasz prezes, hr. Marceli Tyszkiewicz, wraz z niezrównanym nowym łowczym Kazimierzem Marmoroszem, wiedli codziennie nasze grono do kniei po nowe laury, za powrotem w Bukaczowieckim dworze dostawaliśmy, dzięki staraniom nowego niezmordowanego sekretarza Marcelego Bogdanowicza, ciepły kąt i obfity wykwintny obiad. Tak w kniei, jak i przy stole zanotowano bardzo mało pudeł to też nasz wydział nie udzielił nikomu nagany, a towarzysze z wdzięcznem sercem wypili zdrowie wydziału dziękując za podjęte trudy. Wieczory Bukaczowieckie, spędzane na miłych pogawędkach w dobranem i sympatycznem gronie, stanowią zawsze miłą pamiątkę dla uczestników, to też towarzysze wyczekują zawsze z niecierpliwością hasła z Brodów i Karowa, wzywającego ich na Bukaczowieckie łowy.

Jeden z towarzyszy.

Lwów, w październiku 1899.

Już kilkakrotnie dojeżdżając do Halicza, widziałem z pociągu bociana, siedzącego na polu ku Bołszowcom się rozciągającem, już to żerującego, już to dumającego na jakiejś kopicy niezebranego jeszcze wówczas siana. Ostatni raz widziałem go koło 20 października. Nie mogłem skonstatować z pociągu czy jest to jakiś okaleczały egzemplarz — zdawało mi się jednak, że skrzydło lewe miał trochę obwisłe. Możeby który z myśliwych z okolicy zechciał obserwować tego poniewolnego, jak się zdaje, więźnia, któremu nie dano było odlecieć wraz z innymi do cieplejszych okolic. *S.*

Lwów, 2 listopada 1899.

W Nr. 21-ym umieścił *„Łowiec“* notatkę p. Pakoszewskiego, o polowaniach ks. Lichtensteina w Zielenicy, w okolicy znanego już obecnie jako stacya klimatyczna Tartarowa. Gościowi ks. Lichtensteina, malarzowi Rudolfowi Pickowi, posłużyło rzeczywiście szczęście, ale w takich okolicznościach, że uważam sobie za obowiązek podać to do wiadomości czytelników *„Łowca“*, tak jak to z najwiarygodniejszych ust słyszałem.

P. Pick, zmęczony chodzeniem od świtu po górach i wertepach, położył się w południe pod drzewem i zasnął. Myśliwemu, który się szanuje, nawet podczas drzemki na rykowisku nic się innego śnić nie może, jak jelenie. Tak myślał p. Pick, gdy we śnie słyszał porykiwanie, łomot uderzających o siebie wieńców, wogóle odgłosy walki. Było mu tego jednak widocznie za dużo, bo otworzył w końcu oczy. Ku największemu zdumieniu ujrzał na kilkadziesiąt kroków od siebie dwa potężne rogacze, zażarcie ze sobą walczące. Sztuciec leżał pod ręką — malarz

uchwycił go, złożył się i strzelił. Kula z pierwszej lufy ugodziła widocznie dobrze jednego z rywalów, bo zaznaczył należycie, lecz pomknął w gąszcza. Drugi nabój zawiódł. Pozostały jeleń osłupiał — rywal znikł mu nagle z przed oczu, z niewytłumaczonego mu powodu, bo strzału w zapale walki pewnie nie słyszał. Chciał się jednak i sam z tego dziwnego miejsca wynieść, gdy tymczasem p. Pick, wsunął nowy nabój do lufy i zawabił, jak umiał, uderzając przytem laską po gałęziach. Jeleń, któremu stchórzenie rywala było zagadką, myślał widocznie, że to on na nowo z innej strony nadchodzi, zwrócił się i posunął ku szczęśliwemu myśliwemu. Teraz nabój wypalił — jeleń runął z dymem. Za najbliższym potokiem znaleziono pierwszego już martwego. Obydwa były olbrzymimi ośmnastakami o wspaniale rozwiniętych wieńcach. Wartoby było, żeby p. Pick, autor pełnych humoru obrazków łowieckich z Afryki i innych, scenę tę uwiecznił — wartoby było także zapytać go o adres rusznikarza, który dostarcza mu nabojów.

M.

Lisko, w listopadzie 1899.

Zestawienie rocznych wykazów ubitej zwierzyny łownej i szkodników w Bachórcu od r. 1894—1899.

Rok	Dziki	Rogacze	Zające	Jarząbki	Kuropat.	Słonki	Przepiórki	Chruściele	Kszyki	Kaczki	Gołębie	Lisy	Borsuki	Kuny	Tchórze	Łasice	Wydry	Psy	Koty	Jastrzębie	Wrony	Sroki	Gniazd zdjęto
1894/5	—	2	27	—	5	1	—	—	—	1	—	3	—	1	—	3	—	7	20	19	121	69	—
1895/6	2	—	23	—	1	—	—	—	—	—	—	12	—	1	1	5	—	11	44	22	165	66	8
1896/7	—	7	80	—	28	5	1	—	—	—	—	29	—	—	—	42	—	10	65	22	129	128	14
1897/8	—	10	90	1	69	4	7	4	1	9	4	25	—	1	2	40	—	12	49	25	152	151	21
1898/9	—	5	109	1	92	—	72	14	1	5	—	14	3	1	—	33	1	8	62	50	227	132	11
Suma	2	24	329	2	195	10	80	18	2	15	4	83	3	4	3	123	1	48	240	138	794	547	54

Podaję powyższe zestawienie, dla przekonania pesymistów, że przy należytej ochronie zwierzyny, racyonalnie prowadzonych polowaniach, tępieniu wszelkich szkodników, można osiągnąć dodatni rezultat nawet wśród warunków niekorzystnych.

Bachórzec leży w okolicy już górzystej, stosunkowo nie wielki kompleks, więc wokoło granice, z wyjątkiem dwóch sąsiadów, gdzie zwierzynę łowną się tępi, a szkodniki mają asylum; pomimo tego jak widać z wykazu, stan zwierzyny łownej się podnosi co roku, chociaż nie poluje się na całem terytoryum, więc wykaz załączony nie daje jeszcze dokładnego obrazu.

Rok obecny był bardzo dobry, kuropatw zastrzelono 121, pomimo, że na polach południowych nad Sanem zupełnie nie polowaliśmy, gdyż San wylewem biedne kuropatwy, podczas gdy siedziały na jajach, dwukrotnie zalał; zostało cudem kilka stadek, których zupełnie nie ruszaliśmy.

Zajęcy zapowiada się bardzo dużo, więc jest nadzieja, że rok bieżący będzie zamknięty ze znaczną nadwyżką.

A. K.



Sprawy Towarzystwa.

Członkom Towarzystwa, którzy pragną sprowadzić żywe zające do rozpłodu, zwracamy uwagę na pierwszy artykuł w dzisiejszym numerze. *Wydział.*

Tych pp. Członków, którzy dotychczas nie uiścili wkładek, prosimy usilnie o ich nadesłanie i o zaoszczędzenie sekretaryatowi Towarzystwa pracy, jaką stanowi urgowanie zalegających z opłatami pp. Członków każdego z osobna. Czas na to stracony, mógłby być użyty w interesie Towarzystwa. *Wydział.*

Na polowaniu w Boryniczach, ubił p. X. przez nieuwagę sarnę — za którą tytułem dobrowolnej grzywny złożył kwotę 20 zł. na cele Towarzystwa łowieckiego. Wolelibyśmy, aby nadobna sarenka żyła — gdy jednak daremny żal jej nie wskrzesi, dziękujemy bardzo „pokutnikowi“ za pamięć o Towarzystwie, a jeszcze więcej p. hr. Mycielskiej, na której ręce nastąpiło złożenie tej grzywny.

Kalendarz łowiecki na listopad.

Wolno strzelać wszystko oprócz jeleni. Gołębie dzikie i przepiórki chyba tylko wyjątkowo korzystać będą z ochrony, jaką im w tym miesiącu daje ustawa.

Od Administracyi.

Prosimy Szanownych naszych Czytelników, aby w interesie wydawnictwa zwracali łaskawą uwagę na nasz dział inseratowy. Jest on obecnie tak różnorodny, że dla pragnących czynić zakupy, stanowi prawdziwy przewodnik. Prosimy jednak przy ewentualnych zamówieniach powoływać się na „Łowca.“

Zwracamy także uwagę pp. właścicieli polowań na anons p. Chrypiaka, który podobnie jak w roku zeszłym **zobowiązuje** *się zakupywać* **wszelkie** *partye zwierzyny* **w każdej porze,** *po cenach* **definitywnie** *oznaczonych.*

Zwracamy także uwagę na anons firmy K. Pawlikowskiego, w sprawie wystawy paryskiej.



Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**

Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.